

JERZY KORCZAK

W D O W Y

Przyjaźń obydwu uczonych sięgała naprawdę po grób. Bo i śmierć zabrała ich prawie w jednym czasie. Na drugi dzień po przyjeździe do Krynicy zastał profesor Doc-tus. Zanim sięgnęto ze sto-licy żonę, kobietę młodą, przed czterdziestką, wielki uczone leżał już w kostnicy.

Niespełna miesiąc później ten sam los spotkał profesora Probusa. Tyle, że przyczyną zgonu był nie zawał, lecz ure-mia.

W tych ciężkich chwilach po ciechę dla owdowiałych kobiet była zewsząd doznawana ser-deczność i współczucie. Ze szpałt prasy przez długie ty-godnie nie schodziły nazwiska profesorów, a ilość pośmiert-nych wspomnień o każdym przekroczyła pół setki.

Obydwie wdowy, które łą-czyła przyjaźń równie serdecz-na, zapadły w ośpienie. Trwa

— Cieszę się bardzo! — Pro-fesorowa D. zyczliwie spojrze-ła na młodego człowieka, któ-ry nie wiadomo dlaczego spiekl raka. Wdowy zajęły miejsca obok siebie w głębo-kich fotelach.

— Może kawki? — Nadmiar szacunku jakby go paraliżo-wał. Panie skineły głowami. Redaktor prawie na palcach wysłiznął się z pokoju. Po chwi-li wniesiono tacę z filiżan-kami.

— A na jakim papierze za-mierzacie państwo drukować mego męża?

W pytaniu profesorowej P. czała się niepokojąca nutka. Podniosła twarz znad filiżanki i mrużąc swoje krótkowzroc-ze oczy oczekiwała odpowie-dzi.

— To jeszcze nie zostało o-statecznie... Właśnie dziś... — twarz młodzieńca była prawie purpurowa.

się tu jak najlepiej. Ano wi-dać dzieła Huberta nie godne są, aby je drukować na przy-zwoitym papierze.

Pani Gosia chciała coś jesz-cze powiedzieć, ale drzwi by-ły już zamknięte. Młody czło-wiek zerwał się zza biurka i wybiegł na korytarz. Po nie-spełna minucie wrócił z powro tem.

— Niestety. Pani profesoro-wa powiedziała, że ze mną rozmawiać nie będzie. Poszła na skargę do dyrektora. — Tyle rozpacz było w jego gło-sie, że profesorowa D. poczuła nagłą niechęć do przyjaciółki. „Też ma się o co obrażać. Za-wsze miała muchy w nosie...”

— Czy pani profesorowa mogłaby wytłumaczyć pani profesorowej, że klasa papie-ru nie jest zależna od nas? Zresztą to przecież jeszcze nie pewnego...

— Postaram się, ale za sku tek nie ręczę. A kiedy posie-dzenie komitetu?

— Zawiadomimy panią pro-fesorową jutro.

— A więc czekam!

*

W parę godzin później wdo-wy natknęły się na siebie w „Błękitnej”. Od lat pijały tu prawie co dnia popołudniową kawę. Pani Gosia z przesadną serdecznością ucałowała przy-jaciółkę.

— Załatwiłaś naturalnie, ko-chanie, tę formalność, praw-da?

— Wyobraź sobie, że nie. Niezgo konkretnego nie mogli mi przyrzec. A sama chyba rozumiesz, że nie będę nikogo o nie prosić. Gdyby Hubert wiedział, że kogoś o coś pro-szę, — w grobie by się przewró-cił. — Profesorowa P. podnio-sła do ust rurkę z kremem. — Dawno byłaś u kosmetyczki?

— Przed tygodniem. A dla-czego o to pytasz?

— Nic, nic, ot tak sobie.

Pani Gosia wyciągnęła z to-rebki puderniczkę; szybkim, nerwowym ruchem przybliży-ła lusterko do twarzy. „Wszyst-ko w porządku”. Przejechałszy puszkiem po nosie poczuła nieodpartą ochotę, aby powie-dzieć na głos: „I tak ci nie nie pomoże. Jestem o dziesięć lat młodsza”. Zamiast tego jednak milcząc mieszła cukier w ka-wie.

— Wiesz, byłam dziś u mi-nistra. — Pani Gosia bardzo źle znosiła dłuższe milczenie. — Oczekala chwilę chcąc spotęgować ciekawość przyja-ciółki. Ta jednak nachylona nad ciastkami o nic nie pyta-ła. — A wiesz po co?

Pani Marylka nie podnosząc głowy pokiwała przecząco.

— Omawiałam z nim pro-jekt zmiany pokoju Leopolda na muzeum. Bardzo się do tego przychylnie ustosunkował. Przyrzekł też przysłać stola-ry do odnowienia biurka i sekretarzyka.

— Tak? To naprawdę ładnie z jego strony. Ale ciebie to ja nie rozumiem. Więczny ruch, rozgardiasz, nieporządek. Obcy ludzie w mieszkaniu! Nie może być chyba nic gorszego.

— To prawda, ale przecież w ten sposób biedny Leopold...

— Ach, moja droga — pani Marylka starannie otarła ser-wetką kąciki ust. — Wszyscy wiedzą, że Leopold był nie-zwykle skromny. No, a za jego życia nie dbałaś tak o niego. Ten film, który o nim zro-bili już chyba wystarczy. Co prawda mówili w klubie, że cała ta szopka była po to, że-bys ty się mogła pokazać, ale kto by zwracał uwagę na takie gadanie...

— Czy nie zaszkodzi ci te rurki? — zmieniła nieoczeki-wanie temat pani Gosia. — Dużo w nich śmietany. Śmierć na wtrobie.

— Zażyłam dziurawiec.

(Dokończenie na str. 2)



Nadmorskie plaże zaroily się od ludzi. Nic dziwnego: w ubiegłą niedzielę na Wybrzeżu termometry wskazywały 30 stopni w cieniu...

O SZTUCE PISANIA

W. SOMERSET MAUGHAM OBCHODZIŁ NIE-DAWNO 85-TĄ ROCZNICĘ SWOICH URODZIN; OBECNIE ZAMIERZA ON NAPISAĆ KSIĄŻKĘ NA TEMAT TECHNIKI PISANIA I NA TYM ZAKOŃCZYĆ SWĄ TWÓRCZOŚĆ PISARSKĄ. OTO FRAGMENT JEGO OSTATNIEGO DZIEŁA, OPUBLIKOWANY W „SATURDAY EVENING POST”.

Dobry pisarz może z równym powodzeniem napisać historię liczącą 1500 albo 10.000 słów, lecz stworzy on dwa całkiem różne opowiadania, albo też potraktuje je w roz-maitym sposób. Maupassant napisał jedno ze swoich słynnych opowiadań „L'Hé-ritage” w dwojakim uję-ciu: raz zamykając je w kilkuset słowach dla gazu-ty, drugi raz w kilku ty-sięcach słów — dla tygod-nika. Obydwa zamieszczo-ne zostały w jego dziełach zbiorowych i każdy z czy-telników zmuszony jest przyznać, że w pierwszym ujęciu nie brakuje ani jed-nego słowa, a także w dru-gim nie ma ani jednego za wiele.

Oczywiście za najlepsze uważam te historie, które potrafiłbym sam na-pisać. Jest to ten rodzaj opowiadań, które wielu au-torów dobrze napisało, lecz nikt z nich nie potrafił uczy-nić tego lepiej od Maupas-santa. Żeby je pokazać opowiem jedną z jego gło-snych nowel pt. „Naszyj-nik”. Historię tę można opowiedzieć w salonie albo w palmarni na okęcie — słuchacze zawsze chętnie ją wysłuchają. Traktuje ona o problemie wyjątko-wym, ale nie niemożli-wym (...)

Matylda jest żoną pewnego nieznacznego urzędnika pań-stwowego w ministerstwie wy-

chowania publicznego. Wraz z mężem zostali zaproszeni przez ministra na wieczorowe spot-kanie towarzyskie; ponieważ zaś Matylda nie posiadała żadnego drobiazgu z biżuterii, pożyczła sobie od pewnej bo-gatej koleżanki szkolnej ko-lię z pereł i gubi ją. Pragnie jednak bez zbytniego rozgło-su naprawić szkodę. Małżonko wie pożyczając więc na lich-wiarski procent kwotę 36 tysięcy franków — ogromny dla nich majątek — i zakupu-ją dokładnie taki sam naszyj-nik. Aby móc uporać się z tak olbrzymim długiem, ska-zani są pędzić życie w bied-zie. Po dziesięciu latach dług zostaje spłacony i wówczas do-piero opowiada Matylda swej przyjaciółce o wypadku. „Oh, moja kochana Matyldo!” — woła przyjaciółka — „mój na-szyjnik był przecież zwykłą imitacją. Był on wart najwy-żej 500 franków”.

Uważny czytelnik powi-nien się właściwie zapytać: no i co dalej? Wprawdzie owi nieszczęśliwi małżon-kowie zanim mogli odpla-cić zaciągnięty dług zmusze ni byli złożyć ponurym la-tem w ofierze wiele ze swej młodości, lecz gdy wreszcie pomyłka została odkryta i zakupiony przez nich naszyjnik otrzymali z powrotem, znaleźli się ostatecznie w posiadaniu pięknego majątku.

Biorąc pod uwagę gory-cze odmawiania sobie (Dokończenie na str. 2)



Rys. L. Kapeczyński

to to jednak krótko. Po paru miesiącach życie upomniało się o swoje prawa. Wiele spraw majątkowych czekało na załatwienie.

Któregoś dnia do wdowy po profesorze Doctusie zadzwonił wydawca zbiorowych dzieł wielkiego uczonego.

— Czy zechciałaby pani brać udział w pracach komitetu redakcyjnego? Już niedługo przystępujemy do wydania pierwszego tomu.

Profesorowa D. na moment zawahała się.

— Dam odpowiedź. Muszę się jeszcze zastanowić, pora-dzić. To dla mnie tak niespod-ziewane... Z zadumą spoj-rzała w lustro, poprawiła gę-ste, rudawe włosy i nakreśliła numer telefonu.

— Czy do ciebie dzwonili także?

— Właśnie odłożyłam słu-chawkę.

No, i co? Zgodziłaś się? Prze-cież nie miałyśmy nigdy do-tąd...

— Nie szkodzi. To się nam przecież należy. — Profeso-rową D. uderzył w głosie przy-jaciółki nowy ton: stanow-czość i pewność siebie.

— Masz rację — odpowie-działa po chwili namysłu.

Już następnego dnia oby-dwie wdowy udały się do in-stytutu, aby wziąć udział we wstępnych rozmowach.

— Dzieła profesora Doctusa ukażą się na papierze satyno-wanym klasy drugiej. To naj-wyższa klasa, jaka jest na rynku. — Redaktor nie tail wielkiej radości. — Sprawa nie była łatwa. Wciąż ogra-niczenia i ograniczenia. Ale grunt, że mamy to już za so-bą i możemy wreszcie...

Edward Balcerzan

Z wierszy Bogusławie

Chodźmy stąd

chcą nas wypłoszyć

ujadaniem ryglowanej bramy

pozostało nam trzydzieści

szarych

minut

Checesz?

pod sukiennicami

nauczmy się zakleć szarospatackich

zadudnimy palcami

o blaszany hejnał na wietrze mariackim

żeby Stwosz boleściwy

załamał drewnienka pozłacanych rąk

blagosławiając chorującym cudownie kalekom

a lajkonik w popłochu

kopytami do gwiazd

zabijał

na drutach koleczatego sniegu

Kraków

Twego bólu nie potrafię zaznać

w twoich dłoniach jestem ślad oddechu

na przedłużeniu cienia pajęczyny

w mokrych liściach wyrastam obok

klon nad czołem spiżający ogień

znam usta

całowaniami zamykane na noc

krzyk jest wewnątrz

poza barwą oczu

trzeba sięgać poza noc po owoce

snem ciężące

sadom przyszniomym

świł: na rzęsach

lyse krople głodu

jak mam poznać twój ból moim ciałem

moją dlonią uwieranie dna

tlące piaskiem w ciałach ryb pod łuską

jak mam ogrzać palce niewidomy

jeśli w garści trzymam tubkę z gwaszem

którym wczoraj ktoś malował słońce



WYBITNI WIELKOPOLANIE

Wydawnictwo Poznańskie nie tak dawno uraczyło nas wspaniałą (i jubileuszową, bo setną w swojej działalności wydawniczej), książką, poświęconą życiu i działalności 14 najwybitniejszych Wielkopolan XIX wieku. Książka bardzo potrzebna. Choćby dlatego, że brak źródełowych, często już wyczerpanych monografii, sprzyjał błędem w niektórych nawet naukowych publikacjach (jak na przykład przypisywanie Karolowi Libeltowi, że był synem karczmarza poznańskiego podczas gdy ojciec jego był szwemem, a matka — służącą).

W dzisiejszych czasach, gdy części młodzieży przyswieca ideał ekstrawagancji i łatwego zdobywania uznania i pieniędzy — „Wybitni Wielkopolanie XIX wieku” mają specjalne znaczenie. Każdy z tych świetnych ludzi odznaczał się niezwykłą pracowitością, skromnością, dużymi wymaganiami od samego siebie, oddaniem się w całości sprawie dobra społeczeństwa. Czy to będzie w starym wytarłym odzieniu Tytus hr. Działyński, czy nieustraszonego Jackowski, czy Chociszewski lub ostatni z wielkich Wielkopolan minionego wieku — bohatera działacza klasy robotniczej Marcin Kasprzak.

Oprócz wymienionych książka zawiera jeszcze życiorysy nieśczędzącego pieniędzy sprawie publicznej Edwarda Raczyńskiego; lekarza biednych — Karola Marcinkowskiego; księgarza — Greka o polskim sercu Jana Konstantego Zupańskiego; teoretyka poezji i fabrykanta Hipolita Cegielskiego; rybackiego syna poznańskiego Chwaliszewskiego, radkacza, drukarza, księgarza i handlarza drzewem w jednej osobie — Walentego Stefanańskiego; filozofa Augusta Cieszkowskiego z Wierzenicy; patrona Kółek Rolniczych Maksymiliana Jackowskiego, poety i tłumacza Ryszarda Wincentego Berwińskiego z Polwicy średzkiej; bojownika o wychowanie i oświecenie ludu — Ewarysta Estkowskiego, pisarza mas ludowych pod względem pracowitości równego Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu — J. Chociszewskiego z Chełstowa (pod Czarnkowskimi) i tego, który uczył oszczędzania — ks. Piotra Wawrzyniaka.

Wszystkie te monografie wyszły spod pióra najbardziej kompetentnych naukowców; nad całością czuwał wybitny znawca XIX wieku w Wielkopolsce — prof. dr Witold Jakóbczyk. Całość (450 stron), licząca raczej na czytelnika przygotowanego, stanowi nieodzowną pozycję w bibliotece nauczyciela, działacza i miłośnika naszego regionu.

Papier dobry, ciekawe fotografie, piękna oprawa i obwołana skromna wprawdzie, ale przyjemna.

Wydawnictwo Poznańskie pogratulować i podziękować za tak piękną, potrzebną, stosunkowo niedrogą, jubileuszową pozycję.

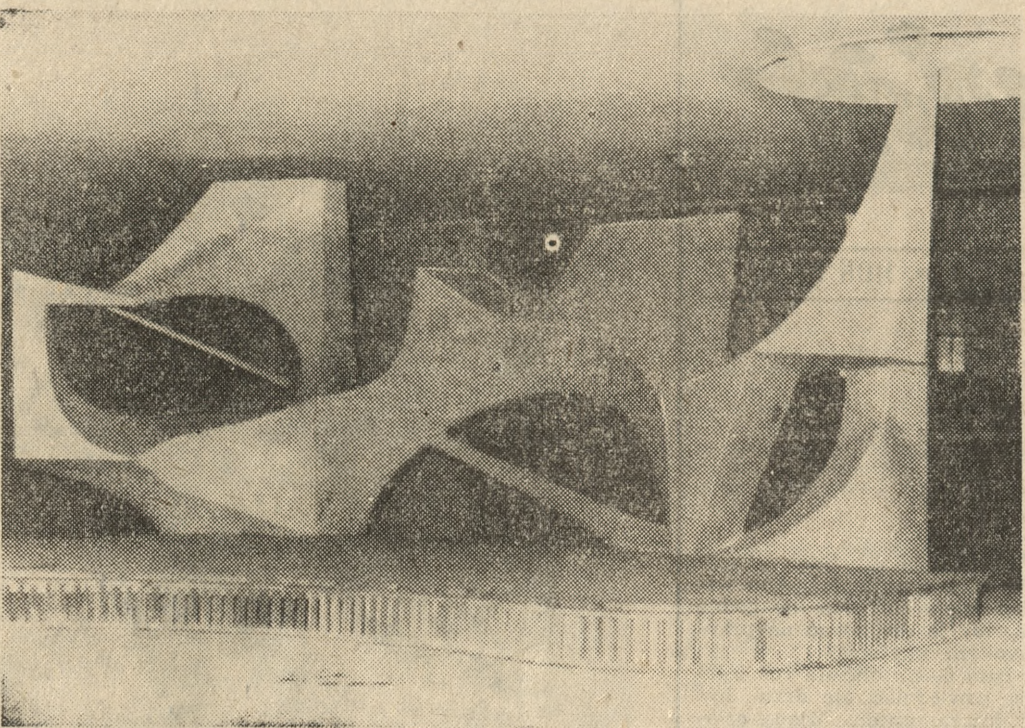
J. P.

(Dokończenie ze str. 1)

wzrostkiego, byłoby to jednak w końcu całkiem wystarczające odszkodowanie. Poza tym: gdyby owa biedna kobieta zdobyła się na tyle rozsądku i opowiedziała o swojej koleżance natchnieniem o zgiebie — dlaczego tego nie uczyniła, nie zostaje w opowiadaniu po wiedziane — nie byłoby to w ogóle żadną „historią”.

Fakt ten przemawia niezwykle, dodajmy na rzecz talentu narracyjnego Maupassanta; tylko nieliczni czytelnicy pozostają na tle trzeźwi, że zdają sobie sprawę z tych braków. Pisarz gatunku Maupassanta nie kopiuje życia; posługuje się nim tak, jak mu to jest wygodne w celu podniesienia zainteresowania, napięcia i momentu zaskoczenia. Nie zależy mu wcale na żywo wiernym oddaniu, woli raczej dramatyzować. Na pierwszym miejscu znajduje się u niego oddziaływanie, a po tym dopiero prawdopodobieństwo (...).

Pierwsze opowiadania Czechowa były prze-ważnie wesołe. Pisanie przychodziło mu bardzo łatwo. Mówił on, że pisze tak jak śpiewa ptak, nie przypisując temu co napisał jakiejś specjalnej ważności. Dopiero gdy po raz



Kompozycja znanych poznańskich artystów — rzeźbiarzy: Józefa Kopczyńskiego i Józefa Stasińskiego wykonana na Targi. Zastania ona bufet i wejście do zaplecza lokalu „Stoieczna”, a w swej nowoczesnej linii i bryle stanowi uzupełnienie również nowoczesnego wnętrza. Fot. K. Przychodźki

Przed reformą niemieckiej pisowni

„Ankieta rozpisana” swego czasu w NRF wykazała, iż większość uczącej się młodzieży za najtrudniejszy przedmiot uważa naukę gramatyki niemieckiej. Z analizy tej ankiety wynika również, że uczącym się języka niemieckiego najwięcej kłopotu sprawia — poza wieloma innymi trudnościami — sama pisownia.

Sprawa usunięcia trudności, jakie nastrodzają reguły ortograficzne, nie od dziś zaprzęta umysły wybitnych germanistów w krajach posługujących się tą mową, a więc w Niemczech, Austrii i części Szwajcarii. Zamierzenia ich idą głównie w kierunku uproszczenia pisowni. Wszak nie kto inny, jak Jakob Grimm, twórca germanistyki, już w 1847 r. domagał się wyeliminowania dużych liter z pisowni niemieckiej, które wprowadzone zostały dopiero w XVIII wieku. Zagadnienie to omawiała również obradująca w 1901 r. w Berlinie specjalna konferencja poświęcona ortografii niemieckiej. Zwolennikiem takiej reformy był także Konrad Duden, którego po dziś dzień popularny słownik niemiecki uznano po 1901 r. za obowiązujący zarówno w Niemczech, w Austrii jak i Szwajcarii. Propozycje usunięcia z pisowni dużych liter dla imion pospolitych wysuwano i na konferencjach w latach 1920, 1932 i 1946. Na tej ostatniej, odbytej w NRD, mimo daleko posuniętych przygotowań, postanowiono sprawę odłożyć, ówczesna bowiem sytuacja polityczna w Europie

nie sprzyjała podjęciu ostatecznej decyzji.

Wydawałoby się więc, że sprawa reformy pisowni niemieckiej przestała być aktualna. Minęło jednak dziesięć lat i problem odżył na nowo. Oto w 1956 r. ministerstwo spraw wewnętrznych w Bonn, wspólnie z komitetem ministrów kultury krajów NRF, powołało zwołaną z wybitnych germanistów specjalną komisję dla opracowania nowej pisowni.

W połowie grudnia ub. roku, po przeszło dwuletniej działalności, komisja przedstawiła ministerstwu w Bonn i komitetowi ministrów kultury obszerny projekt reformy niemieckiej pisowni. Projekt ten sugeruje trzy zasadnicze zmiany:

1) wprowadzenie pisowni z małej litery; z dużej pisać będzie tylko słowa zapożyczone, imiona własne i geograficzne oraz określenia uprzejmościowe,

2) wprowadza się ujednolicenie dotychczasowej pisowni łącznej i rozdzielnej,

3) uproszczenie interpunkcji wprowadzające większą swobodę, zwłaszcza gdy chodzi o używanie przecinka.

pod adresem jednego z autorów było takie, by tenże skreślił początki i zakończenia swoich opowiadań. On sam czynił to z własnymi i to w tak rygorystyczny sposób, że przyjaciele usiłowali mu odbierać manuskrypty, zanim mógłby je okaleczyć (...).

Materiał, który sobie autor wybiera, charaktery, które stwarza, oraz swój stosunek do owych charakterów, uwarunkowany jest przez jego osobiste skłonności. To co pisze jest wykładnikiem jego osobowości i ujawnianiem swoich instynktów, swoich uczuć, swoich nawyków i doświadczeń (...).

Nigdy nie jest zadaniem artysty dostarczać kopii życia. Gdy spoglądamy na obrazy i rzeźby przeszłości, wówczas stwierdzamy zdumienie, jak mało zadawali sobie artyści trudu, aby wiernie oddać to, co przed sobą widzieli. Wielu ludzi uważa zniekształcenia artystów (np. u wczesnych kubistów) za wynalazek naszych czasów. Nic podobnego. Sądzą oni tak tylko dlatego, ponieważ bardzo przyzwyczaili się do zniekształceń przeszłości, że uważają je za dosłowne oddanie ówczesnej rzeczywistości.

opr. M. J.

O SZTUCE PISANIA

niu pewnej historii napisanej przez Tolstoję. Na pytanie co takiego on robi, odpowiedział: „Przepisuję ją jeszcze raz”. Przyjaciel był zdziwiony, że Czechow pozwala sobie na zabawianie się dziełem wielkiego mistrza. Czechow jednak odpowiedział mu: „traktuję to jako ćwiczenie. Mam pomysł, wcale niezły, by w ten sposób nauczyć się od mistrza metody i tą drogą ulepszyć swój własny warsztat”. Nie ulega wątpliwości, że starania jego nie poszły na marne.

Drastyczne żądanie wysunięte przez Czechowa

Z piosenkami — niewesoło

Co śpiewać?

Jeszcze przed kilkoma laty najlepsi kompozytorzy i libreciści — a nie brakło wśród nich głośnych dziś i szanowanych nazwisk — parali się tworzeniem „pieśni masowych”, które miały porwać naród do czynu. Można dzisiaj nie zostawiać na tych utworach suchej nitki, faktem jest jednak, że przynajmniej byli, że się je grało i śpiewało. Niektóre z tych pieśni miały nawet niegorsze walory muzyczne i rytmiczne, mogły zyskać trwały żywot w repertuarze i pamięci — gdyby nie doprowadzony do perfekcji system obrzydzenia tych melodii, w czym szczególnie radio miało poważne zasługi.

Znacznie większe powodzenie i trwalszy żywot miała piosenka ludowa. Świeciła ona i świeci po dziś dzień swój niebawmy renesans i robi karierę nie spotykana w żadnym innym kraju świata. Ale piosenki te — siłą rzeczy — mają ograniczone możliwości, ilość ich jest także ograniczona, zresztą — cechą ich jest niepowtarzalność. Pełnego blasku nabierają dopiero w wykonaniu zespołów „Mazowsze” i „Śląsk”. Każde naśladownictwo odziera je z piękna i blasku. Można ich słuchać, nawet w nieskończoność, ale powtarzać w nieskończoność — nie sposób.

Cóż ponadto? Pozostają chyba szlagiery, czy też — jak kto woli — przeboje. I tu zaczyna się tragedia.

Było po wojnie parę dobrych przebojów, żywot ich znaczący nawet lata, póki się te piosenki nie przejadły. A współczesne szlagiery przeżyją równie głęboką depresję jak pieśń masowa, którą miały zastąpić. Nie rodzą się z każdym filmem, czy z każdym programem kabaretowym. Po prostu brak ich. Nie jest u nas znana — jak we Francji — instytucja ulicznych kolporterów nowych piosenek. Kompozytorzy polscy na ogół odeszli od tej formy twórczości, wielu z nich uważa je za artystyczną tandetę, którą nie warto się parnąć.

Piosenka wygasa, przeżywa swój zmierzch. Nie powstają — mimo uporczywych prób — nowe, wartościowe piosenki wojskowe. Podobnie wyglądają sprawy w krainie piosenki młodzieżowej. Młodzież szkolna śpiewa niemiłosiernie „Morze, nasze morze”, nie bacząc na to, że „nasza flota, choć nieduża” znacznie się już rozrosła i nikt nie marzy o tym, by „leć z honorem” na dnie Bałtyku. W kłopotliwych chwilach, kiedy trzeba coś zaśpiewać, podejmuje się rozpaczliwe próby z „burzą, która huczy wokoło nas”...

Piosenkarze? Ilu ich jest, tych z prawdziwego zdarzenia? Sława Przybylska... „Pamiętasz była jesień”... Jeszcze dwa, trzy nazwiska, dwie, czy trzy piosenki — i na tym koniec. Charakterystyczne, że aby znaleźć jakiś repertuar, trzeba sięgać do przedwojennych „Pensylwanii”, czy obcych, przeważnie nieudolnie tłumaczonych szlagierów. Nowe teksty? Raczy nas nimi np. Rozgłośnia Katowicka, Przykład: „Mój rudy Zdzisio patrzy się tygrysio...”

Dawniej kolportowała piosenki ulica, podwórko, imieniny u cioci. Dzisiaj mamy fantastyczne środki ich masowego kolportażu: radio, płyta, telewizja. Mimo to, ilekroć przychodzi lato, stajemy trochę bezradni przed pytaniem: co śpiewać?

Bo nieuchronnie zdarzają się takie chwile na wczasach, na wycieczkach w podróży, na towarzyskich zebraniach. I kończy się wtedy z reguły na „Morzu, naszym morzu” lub na... „Pije Kuba do Jakuba”.

Koniec. Kropka. Przepraszam — jest jeszcze, po pierwszym litrze, nieśmiertelne „Góralu, czy ci nie żal...”

A nasi kompozytorzy wolą marzyć o odświeżeniu laurach UNESCO, niż o zwyczajnej, codziennej wdzięczności narodu.

Leszek Goliński

*) Klasycznego przykładu jak potrafimy „kopać” zagranicę przeboje, dostarczyła w ub. czwartek przed południem Rozgłośnia Łódzka. Przyjemną w swym żartobliwym tonie piosenkę („O women, o women”) usłyszeliśmy w katarskim opracowaniu Ciuksy i drewnianym wykonaniu solistów. Podobnie dzieje się z innymi piosenkami, transponowanymi „na polski” i wykonywanymi „po naszymu”, co już nie jeden raz wyzykałoby Polskie Radio. (red.).

WDOWY

(Dokończenie ze str. 1)

Świetnie mi robi. Zresztą nie zamierzam sobie odmawiać tej przyjemności.

Minuta ciszy trwała wieczność. Pani Gosia nie umiała opanować zbierającej w niej złości; stukała pantoflem o krzesło, chrząkała i co chwile poprawiała kapelusz. Kłopotliwe milczenie przerwała profesorowa P.

— Czy nie pamiętasz, kochanie, jakim odznaczeniem udekorowano trumnę Leopolda? — Trumnę Leopolda?... Chyba Krzyżem Komandorskim.

— Czy jesteś pewna, że to był Krzyż Komandorski?

— Tak... Zresztą, jeśli ci na tym zależy mogę jeszcze sprawdzić. — Otworzyła torebkę i rzucając okiem na jakieś papiery stwierdziła: Komandorski!

— No tak... No tak... — Szarpając chusteczkę pani Maryla powtarzała w kółko te dwa słowa:

— Co tobie? Błada jesteś!

— Ach nic, nic. Ale skoro już jesteśmy przy tym temacie, wybac mi Gochno, że jeszcze cię o coś zapytam. — Słucham kochanie.

— O ile się nie mylę Leopold miał także pogrzeb pierwszej klasy, prawda? — Pani Gosia poczuła płomień na policzkach; gorączkowo usiłowała wydobyć z myśli jakąś celną szpileczkę — jak na złość nic jej nie przychodziło do głowy.

— Mylisz się, złociutka. Pogrzeb był drugiej klasy. Minister przeprosił mnie za to na cmentarzu. Grudzień, ostatni kwartał. Wyczerpał fundusze. Zaplanowali tylko sześć pogrzebów. Wiesz jak to u nas z tym planowaniem.

— Minister cię przeproszał? — Szarpnięta w dłoniach profesorowej P. chusteczka pękła na pół.

— A cóż w tym dziwnego? Chyba nie twierdzisz, że to było w porządku. Ostatecznie Leopold całym swoim życiem zasłużył sobie na bardziej uroczysty pogrzeb...

— Tak, tak. Naturalnie. Ale za trumną Huberta sędził tylko dyrektor departamentu. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę. I jeszcze ten krzyż. Wtedy nie wiedziałam, że oficerski to mniej niż komandorski.

— Krzyż, jak krzyż. Komandorski czy oficerski — nie taka znowu różnica. Ale ulicy mój Leopold mieć nie będzie. A tobie przyrzekł to już podobno sam przewodniczący Stoiecznej Rady Narodowej. Jak widać każdy umie chodzić koło swoich interesów. No, ale już późno. Mam jeszcze parę sprawunków na mieście. — Pani Gosia podniosła się i zostawiwszy banknot o bok filiżanki z niedopita kawą lekko skinęła przyjaciółce głową. — Jutro zadzwonię do ciebie. Jak zwykle o jedynastej.

— Dobrze, kochanie. Czekam.

Wdowa po wielkim Leopoldzie Doctusie nie dostrzegła już strzępów chusteczki, które wolno opadały wokół stolika.



W salach „Zachęty” w Warszawie została otwarta wystawa sztuki Wietnamu.

Na zdjęciu: Nguyen-Phan-Chang — „Gra”. Malowidło olejne, jedwabna. CAE — CBWA

Tajemnice akcji „Bernhard”

Niedawno stwierdzono pojawienie się fałszywych pieniędzy w Belgradzie, a jednocześnie stwierdził to samo brytyjski Scotland Yard na terenie Anglii. Podrabiane banknoty z okresu wojny, znalazły się znowu w obiegu. Gdzie tkwią sprężyny, które kierują tymi akcjami? Gdzie znajdują się wreszcie ostatni aktorzy tych posunięć?

*

„TEN CZŁOWIEK JEST NIEWINNY!”

Przed kilku miesiącami w sądzie III instancji w Bozen toczyła się sprawa przeciwko człowiekowi, któremu na skutek dokonanego w okresie wojny morderstwa groziła kara 24 lat więzienia. Ów człowiek był jednym z głównych aktorów wielkich akcji wojennych związanych z fałszywaniem i puszczaniem w obieg fałszywych pieniędzy. Zanim jednak zapadł wyrok skazujący, wszedł na salę zachodnoniemieckiego dziennikarza nazwiskiem Wolfgang Loehde i stwierdził autorytatywnie: „Znam prawdziwego mordercę — ten człowiek jest niewinny!”.

*

Krótko po załamaniu się Niemiec hitlerowskich, władze włoskie znalazły na cmentarzu gminy w pobliżu Merano trupa nieznanego mężczyzny, którego ciało podziurawione było licznymi strzałami. Według zeznań świadków był to bliżej nieznany Jugosłowianin, który pracował na zlecenie majora SS Wendiga, zakupując od partyzantów wielkie partie broni, pochodzącej z Anglii.

Pieniądze były oczywiście fałszywe. Nieznajomy ów (wciąż według zeznań świadków), pragnął się w pewnym momencie „urwać” spod opieki majora Wendiga. Podczas ucieczki jesienią 1944 został aresztowany przez żandarmerię wojskową i zastrzelony przez tegoż majora. Opierając się na tych zeznaniach poszlakowych, prokurator w Bozen wygotował akt oskarżenia przeciwko Wendigowi.

KARIERA F. SCHWENDA

Człowiek, o którego głowę chodziło w procesie wszczętym w Bozen, czuje się w tej chwili zupełnie bezpiecznie. Mieszka na jednym z przedmieść chilijskiej stolicy i nazywa się Friedrich Schwend. Oto jego kariera:

*

W roku 1936 Friedrich Schwend (z zawodu kupiec) przyjeżdża do

Mimo że od zakończenia drugiej wojny światowej minęło już lat czternaście, to jednak stale jeszcze odkrywane są jej tajemnice. Wiele afer szpiegowskich finansowanych było fałszowanymi pieniędzmi. Oto jedna z tych historii, której epilog rozgrywa się współcześnie.

Europy i osiedla się w Abazji (w owym czasie Abazja należała do Włoch, obecnie zaś znajduje się w regionie jugosłowiańskiej Adrii). Niebawem SS werbuje Schwenda dla kontrwywiadu admirała Canarisa. Były kupiec dostarcza doskonałych informacji natury wojskowej. Najlepiej jednak troszczy się Schwend o siebie, przeprowadzając przeróżne kombinacje dewizowe. Afery te doprowadziły Schwenda do więzienia: aresztowali go w lipcu 1942 przyjaciele z SS, podejrzewając o prowadzenie dwulicowej gry.

*

Od roku 1940 hitlerowcy pracowali gorączkowo nad podrabianiem angielskich funtów. Wytwórnia mieściła się w baraku nr 19 obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie właśnie przebywał Schwend. Jego talenty mogły zabłysnąć w pełni. To też niebawem pojawia się na



Major SS Wendig, który poprzednio nazywał się Friedrich Schwend. Było mu wygodnie powrócić obecnie do dawnego nazwiska.

widowni osoba majora-SS Wendiga: cztery gwiazdki na kołnierzyku i gasienicowe węzły na epoletach, natomiast nazwisko Schwend przestaje istnieć. Wendig zostaje odkomenderowany do „Akcji Bernhard”. W następnych miesiącach i latach czyni wszystko, aby jak największa ilość fałszowanych banknotów znalazła się w trezorach wielkich międzynarodowych banków a także w szafach pancernych handlarzy bronią. Całe ładunki okrętowe brytyjskiej broni i sprzętu nabywane były za pośrednictwem pewnych jugosłowiańskich degeneratów od Brytyjczyków.

Placono im oczywiście fałszywymi dewizami. Schwend alias Wendig maczał w tych sprawach swe palce. Wszakże nie można mu zarzucić, aby nie dbał jednocześnie o własne interesy; założył pod własnym nazwiskiem firmę pośredniczącą nieruchomości, przy czym wciągnął do tego przedsiębiorstwa wszystkich krewnych. Domy, wille, majątki ziemskie, pałace znalazły się na liście jego osobistego majątku. Nikt nie śmiał go zaatakować albo podkopać jego dobre imię; stała za nim osoba wszechmocnego szefa głównego urzędu dla spraw bezpieczeństwa państwa, oślawionego Ernesta Kaltenbrunnera (skazanego później przez trybunał w Norymberdze na karę śmierci).

*

JAK ZGINĄŁ TEOFIL KAMBER?

Do najbliższych agentów totumfackich a jednocześnie przyjaciół Wendiga należał niejaki Glavan — Jugosłowianin a wraz z nim jego rodak — Teofil Kamber. W

dnio 26 sierpnia 1944 r. dochodzi do sceny, której finał stanął na wokandzie niedokończonej rozprawy przed sądem w Bozen. W chwili, gdy ława sędziów przysięgłych miała przesądzić o winie bądź niewinności Wendiga — padło nazwisko Teofila Kambera. Nosił je niegdyś człowiek, którego ciało znaleziono na cmentarzu gminy obok Merano. Jak doszło do zastrzelenia Teofila Kambera?

Gdy Kamber usiłował zbiec z ukradzionymi milionami i gdy został pochwycony przez niemiecką żandarmerię, zapadło postanowienie przewiezienia go do Bozen i postawiono przed tamtejszym trybunałem wojskowym: groziła mu kara śmierci. Transport Kambera odbywano dwoma autami. W pierwszym wozie siedział Alois Glavan (przy kierowcy), obok niego Wendig, za nimi Kamber



Teofil Kamber przypłacił swą zdradę życiem.

oraz st. sierżant nazwiskiem Niedermaier (żyje i mieszka jeszcze do tej pory w Innsbrucku). W pewnej chwili Glavan zatrzymał auto, wysiadł z niego i po odsunięciu maski wozu nachylił się nad silnikiem. W tym momencie Wendig zwrócił się po cichu do Kambera: „Dalej, bierz nogi za pas!”. Niedermaier, jako dobry służbista, przyjął słowa majora za rozkaz. Glavan, widząc jak Kamber wysuwa się z samochodu, nie namyślając się dobył pistoletu i strzelił. W tym momencie zahamował drugi samochód, w którym jechał m. in. porucznik SS Ziernbauer. Ten właśnie porucznik mógł potwierdzić, że osobą do której strzelił Glavan, był Teofil Kamber.

*

EPILOG — BEZ EPILOGU

W roku 1945 główni aktorzy afery, Wendig oraz Glavan opuścili stary kontynent i unikając nieprzyjemnych następstw wywedrowali do Południowej Ameryki; Wendig przewidywał wszystko. Mieszkając w pięknej podmiejskiej haciendzie, czeka w spokoju na swoje zaozyczne uniewinnienie. Glavan natomiast powrócił w roku 1957 do Europy pod fałszywym nazwiskiem i zamieszkał w Szwajcarii. Przypuszczalnie jednak nie długo będzie się cieszył wolnością, gdyż zdjęcie jego znajduje się już w aktach Interpolu.

Sędziego śledczego oraz prokuratora w Bozen czeka wiele roboty, gdyż przyjdzie im całą sprawę przygotować od nowa. Czyż jednak wyłącznie tylko Glavan zasługuje na ukaranie? Gdzie tkwią i kim są dalsi aktorzy tej gry?

(Opr.: M. J.)



Falszyfikaty banknotu 50-funtowego. Przy pomocy takich pieniędzy finansowano akcje szpiegowskie.

How do you do, mister Faubus?

Jaki jest ów oślawiony gubernator stanu Arkansas — Faubus? Czy i jak przyjmie polskiego dziennikarza? W jaki sposób będzie motywował swoją politykę, w wyniku której wojska federalne z Waszyngtonu musiały interweniować w sporze rasowym, a obecnie — cztery największe gimnazja zostały na nieokreślony czas — zamknięte?

TRZY PYTANIA

Jest mężczyzną około 50 lat, ma czarne włosy, ciemny krawat w paski, ciemny garnitur. Wita się ze mną, mówi, że cieszy się, że widzi przed sobą polskiego dziennikarza i to w dodatku komunistycznego.

— Panie Gubernatorze — odpowiadam — wiem, że jest Pan zajęty, mam więc do Pana tylko trzy pytania. Pierwsze brzmi: Dlaczego upiera się Pan przy dyskryminacji rasowej w szkołach średnich, chociaż w Arkansas istnieje pewna integracja w szkołach powszechnych, a nawet na uniwersytecie.

— Złe pan stawia pytanie — mówi gubernator. To nie ja. Ja osobiście nie mam nic przeciwko integracji. To mieszkający mojego stanu odrzucają ją, ja muszę tylko wykonywać ich wolę. Zgodnie z naszą konstytucją stany mają autonomię lokalną, sprawy szkoły zawsze należały do kompetencji stanów. Ludzie po prostu boją się konsekwencji pogwałcenia autonomii; byłoby to niezgodne z konstytucją.

ARKANZAS I GHANA

— A orzeczenie Sądu Najwyższego? — wtrącam.

— Są tysiące ludzi we wszystkich stanach, którzy nie uznają prawa Sądu Najwyższego do wydawania takich orzeczeń; Sąd powinien ograniczyć się tylko do interpretacji Konstytucji a wydawanie ustaw pozostawić Kongresowi.

— Czy nie jest Pan zaniepokojony konsekwencjami międzynarodowymi Pańskiego postępowania?

Gubernator Faubus odpowiada wprost:

— Nie, nie jestem zaniepokojony. Przecież my się nie wtrącamy do spraw wewnętrznych innych narodów; Ghana na przykład może sobie postępować jak chce. My tylko pragniemy rzucić się naszymi zwyczajami. W plebiscycie, który się tu odbył przed kilkoma miesiącami, ludność stosunkiem 3:1 opowiedziała się za zamknięciem szkół.

— A jak wyobraża Pan sobie rozwiązanie obecnej sytuacji?

— Nikt rozwiązania nie widzi. Zbyt wiele rzeczy trzeba by uwzględnić przy ewentualnym rozwiązaniu. Gdyby ktośkolwiek miał jakieś wyjście — zaoferowałby je. Ludzie po prostu boją się, że rząd federalny mieszałby się jeszcze i do innych spraw, nie tylko integracji. Dlatego bronią swych praw...

Rozmowa dobiega końca. Gubernator Faubus przypomina tylko kurtuazyjnie, że w czasie ostatniej wojny spotkał polskich marynarzy i że ma o nich jak najlepsze wspomnienia...

*

Ulica Dziewiąta znajduje się w głębi dzielnicy murzyńskiej Little Rock — tak jak wszędzie na Południu — biednej, zapuszczonej, brudnej. Niejaki i zapuszczony jest też lokal redakcji murzyńskiej

gazety tygodniowej „Arkansas State Press” na parterze jednopiętrowego drewnianego domku. Redaktor i wydawca tej gazety, p. Christopher Bates — to mąż znanej murzyńskiej działaczki.

Mówię, że — oczywiście — mogę nie wymieniać jego nazwiska, że rozumiem, jaka jest w Little Rock sytuacja, ale p. Bates macha tylko ręką.

— To już niepotrzebne — odpowiada. Cóż mnie może gorzej spotkać? Mój dom jest strzeżony dniami i nocą; musiałem wyjąć specjalnych strażników, którzy płacę prywatnie, a mimo to trzy razy już podkładano pod niego ogień, wybito szyby i drzwi. Ostatnio założyłem żelazne sztaby na oknach, ale nie wiem, na ile to pomoże...

— Policja? — wtrącam niepewnie.

— A jakże — odpowiada — byłem i w policji. Nie, oni nie mogą zagwarantować bezpieczeństwa, nie mają ludzi.

„LUDZIE SIĘ BOJĄ”

— Gazeta nasza — ciągnie p. Bates — która wychodzi od 1941 roku, walczy obecnie z ogromnymi trudnościami. Do stajemy wciąż listy z pogróżkami. Zredukowano nam ogłoszenia. Od czasu, gdy wybuchły tu znane zamieszki, gdy Waszyngton przysłał wojsko, sytuacja jest wciąż napięta. Gdyby rząd federalny działał konsekwentnie! Gdyby zatrzymał wojska, żeby integracja, a przynajmniej jej początek, dokonał się w szkołach średnich! Ale wojska odeszły, a myśmy zostali znowu sam na sam z gubernatorem Faubusem.

— Niech pan nie myśli, że wszyscy biali mają takie samo zdanie jak on. Jest tu wielkie pismo „białe” — „Arkansas Gazette”, które walczyło energicznie z Faubusem; oni także stracili część nakładu, także odsunęli się od nich wielu ogłoszeniodawców. Ale i oni mogą zrobić niewiele. Prywatnie wielu białych popiera ich. Publicznie — nie z tego. Również i biali znajdują się pod terrorem — moralnym, towarzyskim, materialnym. Cała demonstracja przeciwko zniesieniu dyskryminacji w szkołach średnich zaczęła się od tłumy, w którym było nie więcej niż 1000 ludzi; a przecież Little Rock liczy 120 000 mieszkańców. Ale ci właśnie nadają ton, oni grożą, oni wybijają szyby, oni niszczą różnymi sposobami tych, którzy choćby minimalnie nie zgadzają się z nimi.

KIEDY TO NASTĄPI?

— Sąd Najwyższy nie może ustąpić — mówi — i Faubus także nie ustąpi. Jedyna nadzieja w tym, że biali się zmęczą, że zdadzą sobie sprawę, jak wiele tracą ich własne dzieci na braku nauki i fatalnie wyglądają będą oni sami na tle mieszkańców innych, bardziej postępowych, stanów.

„Dziś, z odległości kilku miesięcy, a zwłaszcza po ostatnich wyborach do Komisji Szkolnej, można wyrobić sobie bardziej optymistyczną ocenę sytuacji w Little Rock, niż formułuje ją p. Bates. Wybory te, w których zwolennicy gubernatora Faubusa zostali pokonani, a „umiarkowani” — zwyciężyli, świadczą, że i wśród ludności białej w Little Rock zachodzą pewne pozytywne procesy; że i ta ludność, na której wolę powoływał się gubernator, nie bardzo może pogodzić się z sytuacją, w której dzieci muszą się uczyć po reżimach strażackich. Tylko dla tego, że biali i czarni chłopcy, białe i czarne dziewczęta nie mogą siedzieć na jednej ławce...

Zygmunt Broniarek („Trybuna Ludu”)

FANTAZJA

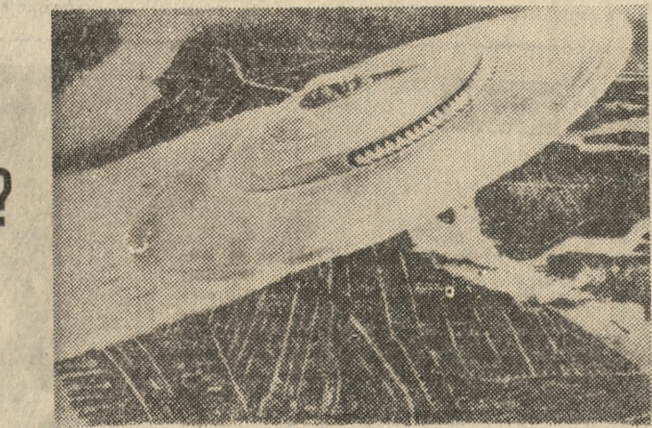
czy RZECZYWISTOŚĆ?

Dokończenie ze strony 4

tacji w zupełnie nowym świetle, należy publikacją prof. dr Cyryla Staniukowicza,

„Gigantyczne rakiety wielostopniowe — oświadczył ten znany fizyk w styczniu br. na posiedzeniu Centralnego Aeroklubu ZSRR im. Czkałowa — nie są jedynym możliwym środkiem pokonania siły grawitacji. Myślimy o innym sposobie: o skonstruowaniu aparatów latających, które nie będą podlegały sile ciężenia. Można przypuszczać, że obniżenie temperatury materii do zera bezwzględnej (minus 273,15° C) spowoduje znaczne zmniejszenie siły grawitacji, a być może — całkowicie ją zniknięcie.”

Zdaniem uczonego radzieckiego, przyciąganie ciał jest spowodowane swoistą formą promieniowania jądrowego. Pulsacja jądra atomowego osiąga zawrotną liczbę 10¹⁸ drgań na sekundę. Przypuszczalnie elektrony podlegają temu samemu prawu. Pola wysyłane w wyniku tego procesu posiadają prędkość bardzo zbliżoną do prędkości światła. Ponieważ zaś każde promieniowanie pociąga za sobą stratę masy — materia zużywa się.



Jeden z kanadyjskich projektów budowy „latającego talerza” o napędzie odrzutowym

Jednak ta „konsumpcja energii grawitacji” — odbywa się bardzo powoli — okres połowicznego rozpadu materii ma być rzędu kilkudziesięciu miliardów lat.

*

W myśl hipotezy amerykańskiego uczonego Carrola doprowadzenie materii do temperatury zera bezwzględnej wywoła eksplozję, wywołującą (w proporcji ogarniętej nią materii) niemal tysiącokrotnie więcej materii aniżeli to się dzieje przy użyciu materiałów rozszczepialnych w stosach atomowych.

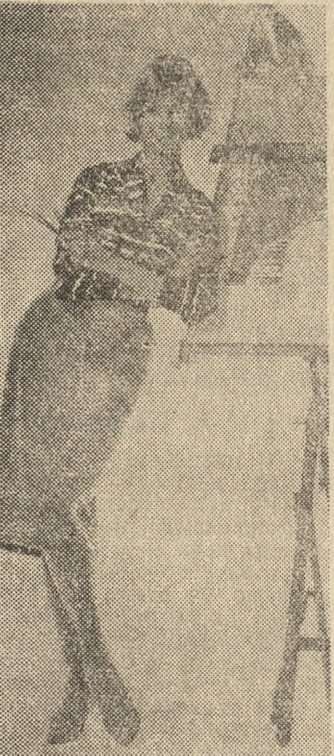
Carrol sądzi, że w temperaturze zera bezwzględnej elektrony powinny opaść na jądro atomowe. Wskutek zetknięcia się różnorodnych ładunków elektrycznych o tej samej mocy nastąpiłoby natychmiastowe przekształcenie całej masy atomu w energię promieniowania.

Opierając się na hipotezie Carrola, mgr inż. Olgierd Wolczek opracował pomysły urządzenia nazywanego przez siebie reaktorem anihilacyjnym, w którym wyzwalamy energię odbywałoby się właśnie przy pomocy zamrażania materii. Taki reaktor byłby sercem rakiet międzygwiezdnej, rozprężając ją do szybkości porównywalnej z prędkością światła. Projekt ten, referowany przez swego autora na VIII Kongresie Międzynarodowej Unii Astronautycznej w Barcelonie w październiku 1957 r. wzbudził żywe zainteresowanie sfer naukowych.

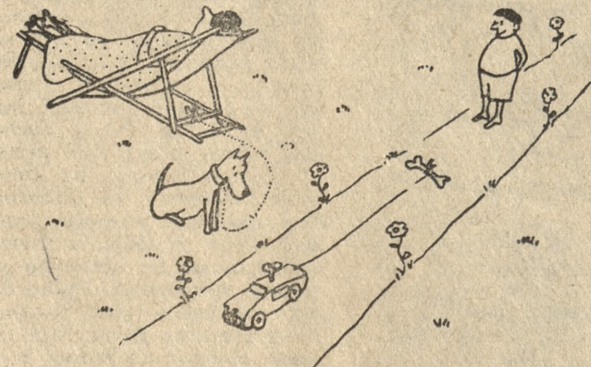
Jakie są podobieństwa i jakie różnice pomiędzy z jednej strony „astronawą grawitacyjną” Heima i „grawiplanem” Staniukowicza, a z drugiej strony latającymi talerzami — trudno jeszcze przewidzieć.

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ

Paryskie lato | Gdy Temida jest ślepa tylko na jedno oko...



Prezentujemy naszym paniom trzy aktualne modele paryskie na lato. U góry — model „Cascade” z organitiny, niżej — model „Audrey”, kolorowa płócienna bluzka i spódnica koloru piasku, u dołu — dwuczęściowy kostium „Rat des champs” według Diora (zwróćcie uwagę na linie kołnierza).



BEZ SŁÓW

Prasa angielska zajmowała się ostatnio bardzo żywo sprawą pewnej wdowy, matki czworga dzieci, 39-letniej pani Christos, która, pragnąc otrzymać za silek państwowy, przysługujący ubogiej ludności, podała fałszywe dane co do swych dochodów. Pani Christos trudniła się m.in. szyciem w domu i nie ujawniła zarobków, jakie za to otrzymywała (były one zresztą bardzo skromne). Powołana przed sąd, tłumaczyła się, że pragnęła te pieniądze zużyć na zakup odzieży i lepsze wyżywienie dzieci, spośród których dwoje od dawna choruje na gruźlicę. Sędzia jednak był nieubłagany i skazał panią Christos na dwa miesiące więzienia.

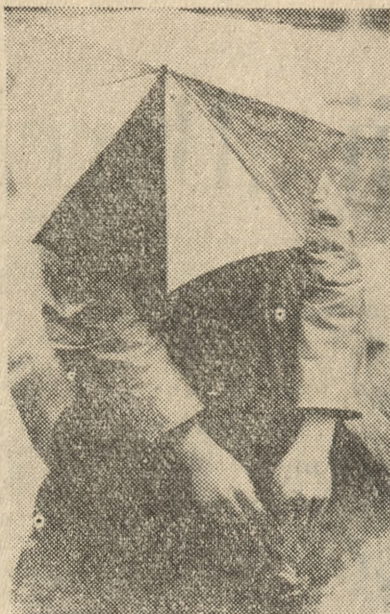
W Anglii zawrzało. Po sypały się głosy protestu. Nikt jednak nie pomyślał, że sprawa pani Christos nie stanowi bynajmniej odosobnionego wypadku w historii angielskiego sądownictwa. Niedawno powstało w Anglii specjalne towarzystwo, mające na celu ochronę dzieci przed okrutnym traktowaniem ze strony rodziców czy opiekunów. Jeżeli jednak jakiś wyrodney ojciec czy matka, trafi przed sąd, otrzyma najwyższą karę grzywny. Za usiłowanie włamania na tomiast grozi kara do 7 lat więzienia.

Za uszkodzenie skrzynki pocztowej grozi kara do 12 miesięcy więzienia. Za łamanie galezi w parku publicznym można „zarobić” 5 lat. Natomiast pijany kierowca, który powoduje wypadek, kalecząc kogoś na całe życie — dostaje najwyżej dwa lata.

Jeszcze sprawa psów. Wiadomo ogólnie, że Angliki uwielbiają psy, w prasie zagranicznej było już tysiące dowcipów i anegdotek na ten temat. Zdarza się więc, że ktoś, kto nie może sobie pozwolić na kupno psa (a psy rasowe są w Anglii bardzo drogie), po prostu „wypożycza” sobie czyjegoś pudła czy settera. A za tego rodzaju przestępstwo przewiduje się karę 18 miesięcy więzienia. (Za uwiedzenie nieletniej — maksimum dwa lata).

Tak więc zwierzęta i przedmioty martwe są w Anglii w większym szanowaniu niż ludzie. Ale w chwili, gdy piszę ten artykuł, radio nadało wiadomość, że pani Christos została zwolniona za kaucją i na następnej rozprawie będzie najprawdopodobniej uniewinniona. Złosiłwi powiedzą, być może, że stało się tak dlatego, iż ów nieprzejednany sędzia w międzyczasie... umarł.

Diana Purcell
Londyn



Praktyczny parasol, do którego noszenia nie trzeba rąk...

Fot. — CAF

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

LATAJĄCY TALERZ w LUDZKIM WYDANIU

Opracował: A. TREPKA

Badania nad poznaniem istoty grawitacji oraz możliwością kontrolowanego posługiwania się nią w technice i komunikacji, prowadzone są dziś na olbrzymią skalę. Niezależnie — ze względu na ich doniosłość również dla celów militarnych — należą do dziedziny eksperymentów najmniej publikowanych. Ale nawet te skąpe wiadomości, które docierają do nas, pozwalają wierzyć w szybkie i rewelacyjne rezultaty.

Warto podkreślić, że również w naszym kraju prowadzone są badania nad ujarzmieniem grawitacji, kierowane przez prof. dr. Leopolda Infelda, światowej sławy znawcę tego zagadnienia, który był przez wiele lat najbliższym współpracownikiem Alberta Einsteina.

Dotychczas jedyny oficjalnie prezentowany model statku elektrogravitacyjnego, o kształcie przypominającym latający talerz, został skonstruowany przez T. T. Browna, pracującego w tej dziedzinie przeszło 30 lat.

Kondensator tarczowy statku Browna o średnicy 50 cm przy doprowadzeniu do elektrod napięcia 50 tys. voltów, krąży w powietrzu po torze kołowym o promieniu 3 m z prędkością 19 km/godz. Obecnie stosuje się już w tym samym doświadczeniu napięcie 15 milionów voltów. Próby te sugerują również realną możliwość bezprzewodowego przekazywania z Ziemi energii napędowej dla okrętów przestrzeni.

„zjednoczonego pola” wynikające z ogólnej teorii względności Einsteina — zespolić w jedno. Na razie wiadomo tylko, że Heim wzbogaca ukazany przez Einsteina czterowymiarowy wszechświat o dwa nowe wymiary.

Te ściśle teoretyczne prace posiadają olbrzymie znaczenie praktyczne. Zmierzają one wprost do udzielenia odpowiedzi na pytanie czym jest grawitacja, i w jaki sposób można się posługiwać energią przez nią reprezentowaną. Po teorii względności, która ustala współzależność masy i energii, byłaby to druga generalna rewolucja naukowa w naszym stuleciu. Chodzi o znalezienie możliwości przekształcenia pola elektromagnetycznego w pole grawitacyjne i odwrotnie. Pozwoli to stworzyć rodzaj „gravitacji ujemnej”, powodującej odpychanie mas.

Burckhard Heim skonstruował już aparat, mający przewarzać fale elektromagnetyczne w fale grawitacyjne. Jest to wstępny krok do stworzenia okrętu kosmicznego, którego dane techniczne zostały obliczone przez Heima. Pojazd będzie elipsoidą o wysokości 22,5 m, napędzaną dzięki transformowaniu sił elektromagnetycznych w siły grawitacyjne. Pozwoli on osiągnąć Księżyc w ciągu 5,5 godziny, a Mars — już po upływie 55 godzin.

Młody, bo zaledwie 32-letni uczonec nie publikuje szczegółów swoich prac, jak również odrzucił otrzymane od rządu USA zaproszenie do Ameryki. Heim oficjalnie powiedział, że oszczędność w podawaniu wyników osiągnięć podyktowana jest obawą, aby nie posłużyły one celom wojennym. Pod tym względem wykazuje moralną dojrzałość godną swego wielkiego rodaka, Otto Hahna, który pogardzając sławą, zachował w tajemnicy pierwsze rozszczepienie łańcuchowe jąder atomowych uranu, gdyż przerażało go widmo bomby atomowej, będącej — wobec rozpanoszonego wyścigu zbrojeń — logiczną konsekwencją tego odkrycia.

Do zaskakujących hipotez, ukazujących zjawisko grawitacji...

(Dokończenie na str. 3)



— Jak pan mógł wyjść na ulicę bez dokumentów?

SZYFROGRAM

13	4	22	19	1	28	33	10	11
15	7	29	20	9	16	34	12	3
26	21	18	27	35	25	36	45	37
17	14	39	40	24	42	38	8	44
43	46	32	23	31	5	41	30	2
								6

Do podanej figury w miejsce liczb wpisać pionowo 8 wyrazów pięcioliterowych i jeden wyraz sześcioliterowy o poniższych znaczeniach.

Następnie należy wypisać wszystkie litery odgadniętych wyrazów według kolejności odpowiadających im liczb (od 1 do 46) i odczytać rozwiązanie, które prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych najpóźniej do dnia 18. VI. br. Wśród autorów poprawnych rozwiązań rozlosujemy nagrody książkowe.

ZNACZENIE WYRAZÓW

- 13) znany z mitologii greckiej, patronuje „Kaktusowi”;
- 4) jednostka pieniężna w Polsce;
- 22) jest dłuższy latem;
- 19) produkują mąkę;
- 1) zebrania publiczne;
- 28) wszystkie prowadzą do Rzymu;
- 33) przeddzień;
- 10) rodzaj opowiadań ludowych;
- 11) styl, który powstał w Francji za panowania Ludwika XV.



Obok Marcel Camus — reżyser nagrodzonego w Cannes Złotą Palmą filmu „CZARNY ORFEUSZ” oraz odtwórczyni głównej roli w tym filmie, ciemnoskóra — Marpessa Dawn



Dwie kapitalne kreacje tworzą w nowym filmie włoskim pt. „Piekło w środku miasta” Anna Magnani i Giulietta Massina. Film w sposób bardzo sugestywny i ekspresyjny opowiada o losach kobiet żyjących w wielkim miejskim więzieniu. Recydywistka — Magnani (na zdjęciu z lewej) i młoda, pełna jeszcze naiwności i wiary w urok życia dziewczyna — Massina spotykają się w tym piekle, odgradzonym murem od życia normalnych ludzi.



Po wieloletniej przerwie słynna piękność przedwojennych ekranów — Zarah Leander — wraca znów do filmu. Wystąpi ona w dramacie produkcji NRF pt. „Niebieska ełma”. Partnerem jej będzie Christian Wolf, który wystąpi w roli jej syna. Reżyser filmu W. Schleif powiedział: „Jedynym moim żmartwieniem jest to, iż Zarah jest co najmniej o 10 lat za młoda do tej roli”.